

JP DELANEY

AUTOR BESTSELLEROWEJ **LOKATORKI**

W
ŻYWE
OCZY



JP DELANEY

**W
ŻYWE
OCZY**

TŁUMACZENIE ANNA GRALAK



OTWARTE

KRAKÓW 2018

Tytuł oryginału: *Believe Me*

Copyright © 2018 Shippen Productions. All rights reserved.
This translation published by arrangement with Ballantine Books,
an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki: Andrew Smith

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Antoha713 / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-533-4



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Michaelowi

Aktor gra swoimi bliźniami.

Shelley Winters

Nikt nie może przez dłuższy czas
nosić jednej twarzy dla siebie,
a drugiej dla tłumu, nie narażając
się na to, że w końcu sam nie będzie
wiedział, która jest prawdziwa.

Nathaniel Hawthorne, *Szkarłatna litera*,
tłum. Bronisława Bałutowa

PROLOG

W dniu wyjazdu goście powinni zwolnić pokój przed południem.

O jedenastej szóste piętro hotelu Lexington już prawie opustoszało. To środkowa część Manhattanu, nawet turyści mają tu napięty plan dnia, wypełniony zwiedzaniem galerii, zakupami w domach towarowych i innymi atrakcjami. Tych, którzy lubią dłużej pospać, obudziły prowadzone po hiszpańsku rozmowy sprzątaczek kursujących do pralni obok windy, by przygotować pokoje na napływ kolejnych gości po południu.

Stojące tu i tam na korytarzu puste tace po śniadaniu wskazują, które pokoje należy jeszcze posprzątać.

Obok drzwi apartamentu z tarasem nie ma tacy.

Codziennie rano do każdego pokoju dostarcza się złożony numer „New York Timesa”, z pozdrowieniami od hotelu.

W przypadku apartamentu z tarasem pozdrowienia zostały zignorowane. Nietknięta gazeta leży na wycieraczkę. Nad nią na klamce wisi zawieszka z napisem „NIE PRZESZKADZAC”.

Consuela Alvarez zostawia sobie ten apartament na koniec. Wreszcie, gdy wszystkie pozostałe pokoje są już

posprzątane, nie może dłużej zwlekać. Krzywiąc się z bólu, który utkwił w krzyżu – tego ranka zmieniła już kilkanaście kompletów pościeli i wyszorowała kilkanaście kabin prysznicowych – puka w drzwi swoim identyfikatorem, woła: „Sprzątanie!” i czeka na reakcję.

Nikt nie otwiera.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważa po wejściu do środka, jest zimno. Przez zasłony wpada lodowate powietrze. Cmokając z dezaprobatą, podchodzi do okna i pociąga za sznurek. Pokój zalewa szare światło.

W pomieszczeniu panuje bałagan. Kobieta głośno zamyka okno, robiąc to trochę ostentacyjnie.

Osoba w łóżku się nie porusza.

– Proszę się obudzić – mówi skrzepowana Consuela.

Ktoś naciągnął sobie kołdrę aż na głowę. Pod gładką pościelą odznaczają się kontury ciała, przywodząc na myśl coś pogrzebanego pod warstwami śniegu.

Gdy Cosnuela patrzy na walające się wokół rzeczy – przewróconą lampę, stłuczony kieliszek do wina – nagle dopadają ją złe przeczucia. W ubiegłym roku na drugim piętrze ktoś popełnił samobójstwo. Nieciekawa sprawa. Jakiś chłopak przedawkował w łazience. A wszystkie pokoje w hotelu były zarezerwowane. Musiały wysprzątać pokój i przygotować go dla następnego gościa, który miał się zjawić o piątej.

Rozgląda się jeszcze raz i zauważa w apartamencie z tarasem kilka elementów, które wydają się niezwykle, wręcz dziwne. Kto idzie spać, zostawiając na dywanie stłuczony kieliszek, na który mógłby nadepnąć następnego dnia? Kto śpi z głową pod kołdrą? Consuela widziała wiele pokoi hotelowych, z jakiegoś powodu scena malująca się teraz przed jej oczami wydaje się nienaturalna.

Wręcz zainscenizowana.

Kobieta wykonuje znak krzyża. Nerwowo kładzie rękę na kołdrze, mniej więcej tam, gdzie powinno być ramię, i potrząsa za nie.

Po chwili w miejscu, gdzie przyłożyła dłoń, na białej pościeli zakwita czerwony kwiat.

Teraz już wie, że stało się coś złego, coś bardzo złego. Jeszcze raz dotyka łóżka, tym razem tylko palcem. Na pościeli znów rozkwitają kwiaty o czerwonych płatkach, niczym atrament przebijający przez bibułę.

Consuela zbiera się na odwagę i lewą ręką odrzuca kołdrę.

Jeszcze zanim dociera do niej to, co widzi, jej druga ręka unosi się, żeby ponownie wykonać znak krzyża. Tym razem jednak dłoń, która wystrzeliła w stronę czoła, nie kończy tego gestu. Zsuwa się drżąca, by zamiast tego zdusić krzyk.

CZĘŚĆ I

(PIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ)

Jej facet jeszcze nie przyszedł.

Właśnie tak byście pomyśleli, gdybyście mnie teraz zobaczyli, siedzącą przy barze w tym przyjemnie urządzo-
nym nowojorskim hotelu, gdzie dokładam starań, żeby
moja Virgin Mary starczyła na cały wieczór. Po prostu
kolejna młoda kobieta czekająca po pracy na mężczyznę,
z którym się umówiła. Być może trochę bardziej wystro-
jona niż niektóre z obecnych tu kobiet. Nie wyglądam,
jakkbym właśnie wyszła z biura.

Przy drugim końcu baru grupka młodych mężczyzn
pije i przerzuca się żarcikami, akcentując swoje słowa
kuksańcami w ramię. Jeden z nich – przystojny, eleganc-
ki, wysportowany – chwyta moje spojrzenie. Uśmiecha
się. Odwracam wzrok.

Wkrótce zwalnia się stolik w głębi sali, więc biorę drin-
ka i się tam przenoszę. Nagle rozgrywa się mała scena:

BAR W HOTELU DELTON PRZY CZTERDZIESTEJ
CZWARTEJ ZACHODNIEJ, NOWY JORK, WIECZOREM

MĘŻCZYŻNA

(*agresywnie*)

Co to ma znaczyć?

Stoi przede mną biznesmen, na oko czterdziesto-
pięcioletni, ubrany w drogi garnitur, wskazujący, że jest
kimś więcej niż zwyczajnym trutniem ze szczebla kie-
rowniczego. Kołnierzyk muskają włosy trochę za długie
jak na Wall Street.

Jest wkurzony. Bardzo wkurzony.

JA

Słucham?

MĘŻCZYŻNA

To mój stolik. Poszedłem tylko do toalety.

Wskazuje laptopa, drinka i gazetę, które jakimś cudem
udało mi się przeoczyć.

MĘŻCZYŻNA

To mój drink. Moje rzeczy. Przecież wyraźnie widać, że stolik
jest zajęty.

Ludzie wokół odwracają się w naszą stronę. Nie bę-
dzie jednak konfrontacji, nie będzie erupcji nowojorskie-
go stresu. Już wstaję, przewieszając torebkę przez ramię.
Rozładowując napięcie.

JA

Przepraszam... nie zauważyłam. Poszukam innego miejsca.

Odsuwam się od stolika i bezradnie rozglądam po sali,
ale lokal jest pełny i ktoś już zajął moje miejsce przy ba-
rze. Innego nie ma.

Kątem oka widzę, jak mężczyzna mi się przygląda, prze-
suwając wzrokiem po żakiecie Jess od Donny Karan – tym

drogim, w którym chodzi na przesłuchania – po miękkim ciemnym kaszmirze podkreślającym bladość mojej cery i ciemny kolor włosów. Dociera do niego, jak głupio się pomylił.

MĘŻCZYŻNA

Zaraz... Chyba możemy usiąść tu razem.

Wskazuje stolik.

MĘŻCZYŻNA

Starczy miejsca dla nas obojga... Właśnie próbuję nadrobić zaległości w pracy.

JA

(z uśmiechem wdzięczności)

Och... dziękuję.

Zsuwam torebkę z ramienia i siadam. Na chwilę zapada cisza, której świadomie nie przerywam. To musi wyjść od niego.

I rzeczywiście, gdy znowu się odzywa, w jego głosie słyhać subtelną zmianę – jest bardziej chropowaty, gardłowy. Czy głos kobiet też się tak zmienia? Powinnam z tym kiedyś poeksperymentować.

MĘŻCZYŻNA

Czeka pani na kogoś? Założę się, że utknął w śniegu. Właśnie dlatego muszę tu spędzić jedną noc więcej. Na LaGuardii rozpętał się chaos.

Uśmiecham się w głębi ducha, bo to przecież jasne, że próbuję się w ten sposób dowiedzieć, czy umówiłam się

z mężczyzną, czy z kobietą, i jednocześnie daje mi znać, że jest tutaj sam.

JA

W takim razie chyba spędzę tu trochę czasu.

Kiwa głową w stronę mojego już pustego kieliszka.

MĘŻCZYŻNA

Czy wobec tego mogę postawić pani następnego drinka? Nawiasem mówiąc, mam na imię Rick.

„Ze wszystkich barów we wszystkich miastach na całym świecie...”

JA

Dziękuję, Rick. Chętnie wypiję martini. Mam na imię Claire.

RICK

Miło mi, Claire. I przepraszam za to, jak się zachowałem.

JA

Nie ma za co, naprawdę, to była moja wina.

Mówię to z tak szczerą nonszalancją, z taką wdzięcznością, że nawet ja sama byłabym zdziwiona, gdyby okazało się to kłamstwem.

Ale to przecież nie jest kłamstwo. To „wiarygodne zachowanie w wyimaginowanej sytuacji”. Które, jak się przekonacie, bardzo różni się od kłamstwa.

Kelnerka przyjmuje od nas zamówienie. Gdy odchodzi, jakiś mężczyzna przy sąsiednim stoliku czepia się jej z powodu zapomnianego drinka. Patrzę, jak kobieta

ponuro wysuwa długopis z za ucha, prawie jakby wyciągała stamtąd słowa tego klienta z zamiarem rzucenia ich na podłogę.

Może mi się to przydać, myślę. Zapisuję ten gest gdzieś głęboko w rejestrze i ponownie skupiam się na mężczyźnie naprzeciwko.

JA

Co cię sprowadza do Nowego Jorku, Rick?

RICK

Interesy. Jestem prawnikiem.

JA

Nie wierzę.

Rick wydaje się zaskoczony.

RICK

Dlaczego?

JA

Wszyscy prawnicy, których znam, są brzydki i nudni.

Odpowiada na mój uśmiech uśmiechem.

RICK

Specjalizuję się w branży muzycznej. W Seattle. Łudzimy się, że to trochę bardziej interesujące niż prawo karne. A ty?

JA

Pytasz, czym się zajmuję? A może o to, czy uważam, że jestem interesująca?

Ku naszemu obopólnemu zaskoczeniu trochę ze sobą flirtujemy.

RICK

Jedno i drugie.

Skinieniem głowy dziękuję kelnerce za drinka.

JA

Wcześniej robiłam to, co ona.

RICK

Wcześniej?

JA

Zanim zdałam sobie sprawę, że można zarabiać na czynsz w bardziej ekscytujący sposób.

Zawsze poznaję to po oczach – po tym lekkim, ledwie zauważalnym bezruchu, gdy gdzieś w głębi świta pewna myśl. Rick obraca w głowie możliwości wynikające z tego, co właśnie powiedziałam. Dochodzi do wniosku, że zagałpował się w interpretacji moich słów.

RICK

A skąd pochodzisz, Claire? Próbuję skojarzyć ten akcent.

Niech cię szlag, przecież to akcent z Wirginii! Dlatego wymówiłam słowo „prawnik” w ten charakterystyczny sposób.

JA

Jestem... stamtąd, skąd chciałbyś, żebym była.

Uśmiecha się. Drapieżnym, rozochocionym uśmiechem, który mówi: „A więc miałem rację!”.

RICK

Nigdy nie spotkałem dziewczyny, która by stamtąd była.

JA

A spotykasz wiele dziewczyn, prawda?

RICK

Łączę podróże służbowe z pewną dozą przyjemności.

JA

A potem wracasz do żony i dzieci w Seattle.

Rick marszczy brwi.

RICK

Dlaczego myślisz, że jestem żonaty?

JA

(uspokajająco)

Bo właśnie takimi się interesuję. Żonaci umieją się zabawzić.

Teraz jest już pewny, ale się nie spieszy. Sączymy drinki, a on opowiada mi o swoich klientach w Seattle – o sławnym idolu nastolatek, który lubi niepełnoletnie dziewczyny, i o heavymetalowym macho, który jest gejem, ale nie ma odwagi się do tego przyznać. Z lekkim naciskiem mówi mi, ile można zarobić, zajmując się tym, czym on się zajmuje – pisząc umowy dla ludzi, którzy są z natury niezdolni do przestrzegania zawartych w nich warunków, co wymaga usług takich osób jak on na obu etapach: podczas

sporządzania umowy i podczas jej ostatecznego rozwiązania. I wreszcie, gdy jawię mu się jako kobieta, na której zrobiło to odpowiednie wrażenie, Rick proponuje, żebyśmy, skoro mój przyjaciel najwidoczniej nie zamierza się zjawić, przenieśli się gdzieś indziej, do jakiejś restauracji albo klubu, gdziekolwiek zechcę...

RICK

(ściszonym głosem)

Albo moglibyśmy po prostu zamówić coś przez room service.

Mam pokój na górze.

JA

Room service bywa kosztowny.

RICK

Będziesz mogła zamówić, co tylko zechcesz. Butelkę cristal, kawior...

JA

Miałam na myśli to, że takie usługi jak room service bywają kosztowne... kiedy ja je świadczę.

No i proszę. Wszystkie karty leżą na stole. Tylko nie reaguj na to, co właśnie powiedziałaś, nie uśmiechaj się ani nie odwracaj wzroku. To nic wielkiego. Ciągłe to robisz.

Po prostu zignoruj łomotanie serca, ściskanie w żołądku.

Rick z zadowoleniem kiwa głową.

RICK

Nie tylko ja przyszedłem tu w interesach, prawda?

JA

Przyłapałeś mnie, Rick.

RICK

Pozwolę sobie powiedzieć, Claire, że nie wyglądasz na taką dziewczynę.

Pora na wyznanie.

JA

To dlatego... że nie jestem taką dziewczyną.

RICK

Więc jaka jesteś?

JA

Jestem z tych dziewczyn, które przyjechały tu pobierać lekcje aktorstwa i zalegają z chesnym. Raz na parę miesięcy wychodzę się zabawić... i problem znika.

Po drugiej stronie hotelowego lobby melduje się jakaś rodzina. Mniej więcej sześćioletnia dziewczynka, wystrojona na wycieczkę do miasta w płaszczyk, wełnianą czapkę i szalik, chce zobaczyć, co się dzieje za kontuarem. Ojciec podnosi ją, stawia na jej dziecięcej walizce, a ona podkorytowana kładzie się na blacie i patrzy, jak menedżer wydaje karty do drzwi. Mężczyzna z uśmiechem wręcza jej jedną z nich. Tata opiekuńczo podtrzymuje córkę ręką, uważając, żeby nie spadła. Czuję znajome ukłucie zazdrości i bólu.

Odsuwam od siebie te myśli i wracam do rozmowy z Rickiem, który siedzi pochylony w moją stronę i z błyskiem w oku mówi do mnie ściszym głosem...

RICK

A jak bardzo chciałabyś się dzisiaj zabawić, Claire?

JA

Myślę, że możemy ponegocjować.

Uśmiecha się. Jest prawnikiem. Negocjacje to element jego gry.

RICK

Co powiesz na trzysta?

JA

Tyle biorą w Seattle?

RICK

W Seattle można za to dostać całkiem sporo, wierz mi.

JA

Jak dużo zdarzyło ci się zapłacić za kobietę, Rick?

RICK

Pięćset. Ale to było...

JA

(wchodząc mu w słowo)

Pomnóż to przez dwa.

RICK

(oszołomiony)

Nie mówisz poważnie.

JA

Owszem. Jestem zwyczajną dziewczyną, która wyszła się zabawić – dlatego jestem warta tysiąc dolarów. Ale jeśli się rozmyśliłeś...

Jak gdyby nigdy nic sięgam po torebkę, mając nadzieję, że nie zauważy, jak trzęsie mi się ręka.

RICK

Nie, zaczekaj. Niech będzie... tysiąc.

JA

Jaki jest numer twojego pokoju?

RICK

Osiemset czternaście.

JA

Zapukam do ciebie za pięć minut. Unikaj kontaktu wzrokowego z recepcjonistą.

Rick wstaje.

RICK

(z podziwem)

Ten trik ze stolikiem był całkiem zgrabny. Poderwałaś mnie tuż pod nosem pracowników baru.

JA

Z czasem nabiera się wprawy. Przy dobrej zabawie.

Przed windą Rick odwraca się do mnie. Kiwam głową i posyłam mu lekki, tajemniczy uśmiech.

Który schodzi mi z twarzy, gdy tylko zamykają się za nim drzwi. Sięgam po torebkę i kieruję się w stronę wyjścia na ulicę.

Ściemnienie.

Na zewnątrz w końcu przestało padać, wszystkie stojące wzdłuż chodnika hydranty mają białe peruczki ze śniegu. Kawalek dalej czeka czarna limuzyna z wyłączonymi światłami i pracującym silnikiem. Otwieram tylne drzwi i wsiamam.

Żona Ricka ma około czterdziestu pięciu lat, a jej zmęczony, choć uzyskany za pomocą znacznych środków wygląd sugeruje, że podobnie jak jego klienci, kiedyś też należała do sceny muzycznej – zanim zaczęła wydawać przyjęcia dla współpracowników Ricka i rodzić mu dzieci. Siedzi na tylnym siedzeniu obok Henry'ego, trzęsąc się mimo włączonego ogrzewania.

– Wszystko w porządku? – pyta cicho Henry.

– Tak – mówię, wyjmując z torebki małą kamerę wideo. Porzuciłam już akcent z Wirginii. Swoim zwyczajnym brytyjskim głosem mówię do żony Ricka: – Proszę posłuchać, powiem to, co zawsze mówię w takich sytuacjach: naprawdę nie musi pani tego oglądać. Może pani po prostu wrócić do domu i postarać się wszystko przemyśleć.

A żona Ricka mówi to, co mówią one wszystkie:

– Chcę wiedzieć.

Podaję jej kamerę.

– Najważniejsze jest to, że pani mąż regularnie korzysta z usług prostytutek. Nie tylko w podróży służbowych. Mówił, że zdarzyło mu się zapłacić za to w Seattle aż pięćset dolarów. A mnie właśnie zaproponował tysiąc.

Oczy kobiety wypełniają się łzami.

– O Boże. Boże.

– Bardzo mi przykro – mówię skrepowana. – Jeśli chce pani z nim porozmawiać, czeka na mnie w pokoju osiemset czternaście.

Może i ma łzy w oczach, ale widać w nich także złość. Zapamiętaj to.

– O, na pewno rozmawiam z prawnikiem. Ale to będzie nie on, tylko specjalista od spraw rozwodowych. – Zwraca się do Henry'ego: – Chciałabym już stąd jechać.

– Oczywiście – odpowiada gładko.

Gdy wysiadamy z samochodu – Henry po to, żeby usiąść za kierownicą, a ja, by ruszyć w swoją stronę – dyskretnie podaje mi kopertę.

Czteryście dolarów. Nieźle, jak na jeden wieczór.

Poza tym Rick był gnidą. Przyprawiał mnie o dreszcze. Zdradzał żonę, a do tego zachowywał się arogancko i agresywnie. Zasłużył na wszystko, co ta kobieta zamierzała mu zgotować.

Więc dlaczego, gdy limuzyna odjeżdża po szarym, brudnym śniegu, czuję się tak podle z powodu tego, co przed chwilą zrobiłam?

Teraz pewnie się zastanawiacie, kim tak naprawdę jestem i co robię w Nowym Jorku. Innymi słowy, interesuje was tło tej historii.

Imię i nazwisko: Claire Wright

Wiek: 25 (może grać 20–30)

Wzrost: 168 cm

Narodowość: brytyjska

Kolor oczu: brązowy

Kolor włosów: zmienny

Tak wyglądają fakty. Ale w rzeczywistości to nie one was interesują. Chcecie wiedzieć, czego pragnę. Bo tak brzmi zasada numer jeden, najważniejsza rzecz, pierwsze, czego powinniście się dowiedzieć: „Postać określa jej pragnienia”.

Mówiłam Rickowi prawdę – w każdym razie część prawdy. Chcę być innymi ludźmi. Nigdy nie pragnęłam niczego więcej.

Okolo połowy z dziesięciu najlepszych szkół aktorskich według dowolnie wybranego rankingu ma siedzibę w Nowym Jorku. Juilliard, Tisch, Neighborhood Playhouse, by wymienić tylko kilka. W każdej z nich naucza się jakiejś odmiany tego samego podejścia zakorzenionego w systemie

wielkiego rosyjskiego aktora Konstantina Stanisławskiego. Chodzi o to, by zanurzyć się w prawdziwych emocjach związanych z rolą, aż ta rola stanie się częścią ciebie.

W nowojorskich szkołach aktorskich nie uczą gry. Uczą stawiania się postacią.

Jeśli masz wystarczająco dużo szczęścia, by dotrzeć do końca pierwszej rundy, i przechodzisz do etapu przesłuchań... jeśli masz wystarczająco dużo szczęścia, by dostać się do jednej z tych szkół... jeśli granie było całym twoim życiem, odkąd skończyłaś jedenaście lat i uciekałaś przed monotonią kolejnych rodzin zastępczych, udając, że jesteś kimś innym, gdzieś indziej... to po pierwsze, jesteś jedną z tysięcy, a po drugie, byłabyś szalona, gdybyś nie skorzystała z takiej możliwości.

Zgłosiłam się na kurs w Actors Studio pod wpływem chwili – uczyła się tam Marilyn Monroe, a ona też wychowała się w rodzinie zastępczej – poszłam na przesłuchanie z dziwnym przeświadczeniem, że właśnie tak miało być, i dostałam się w okamgnieniu.

Dali mi nawet stypendium. Pokryło część chesnego. Ale nie starczyło na koszty utrzymania w jednym z najdroższych miast na świecie.

Zgodnie z warunkami mojej wizy studenckiej mogłam zarabiać... tylko jeśli będę pracowała w kampusie. „Kampus” nazywano Pace University, ciasny, nowoczesny blok sąsiadujący z ratuszem i mostem Brooklyńskim. Niewiele możliwości dla osoby szukającej zatrudnienia w niepełnym wymiarze godzin.

Udało mi się zdobyć posadę kelnerki w barze w Hell's Kitchen i trzy razy w tygodniu biegałam tam wieczorami po zajęciach. Właściciel miał jednak niewyczerpany wpływ młodych kobiet, w których mógł przebierać, więc nie było sensu zatrzymywać którejs na dłużej. Dzięki temu,

gdyby urząd podatkowy albo imigracyjny wpadł z kontrolą, zawsze mógł twierdzić, że ich kwestionariusze osobowe właśnie idą pocztą. Po dwóch miesiącach oznajmił mi, wcale nie niezyczliwie, że przyszała pora, bym poszukała innej pracy.

Jeden z moich nauczycieli, Paul, zaproponował, że-
bym porozmawiała z jego znajomą agentką. Znalazłam adres – wąskie przejście w przedwojennym budynku poprzecinany zygzakami schodów przeciwpożarowych na samym końcu Czterdziestej Trzeciej Ulicy – i weszłam na trzecie piętro do najmniejszego biura, w jakim kiedykolwiek byłam. Wszędzie piętrzyły się zdjęcia portretowe, scenariusze i kontrakty. W pierwszym pomieszczeniu dwóch asystentów siedziało po obu stronach jednego małego biurka. W sąsiednim pokoju ktoś zawołał mnie po imieniu. Za następnym biurkiem siedziała tam drobna kobieta grzechocząca ogromną plastikową biżuterią. Trzymała w ręku moje CV, które zaczęła czytać na głos, machnąwszy w stronę krzesła po drugiej stronie biurka, żebym usiadła.

BIURO AGENTKI W NOWYM JORKU, W CIĄGU DNIA

MARCIE MATTHEWS, twarda nowojorska agentka, czyta moje CV.

MARCIE

Rok w szkole aktorskiej. London School of Dramatic Art. Rola epizodyczna w telewizji. Dwa europejskie filmy autorskie, które nie weszły na ekrany.

Nieprzekonana odrzuca CV na bok i mierzy mnie krytycznym spojrzeniem.

MARCIE

Ale jesteś całkiem ładna. Nie piękna, choć mogłabyś grać piękną. A Paul Lewis mówi, że masz talent.

JA

(zadowolona, ale siląc się na skromność)

To wspaniały nauczyciel...

MARCIE

(wchodząc mi w słowo)

Mimo to nie mogę cię reprezentować.

JA

Dlaczego?

MARCIE

Przed wszystkim nie masz zielonej karty. A to oznacza, że nie należysz do związku. A to oznacza, że nie możesz pracować.

JA

Na pewno da się temu jakoś zaradzić.

MARCIE

Jasne. Możesz wrócić do Anglii i złożyć wniosek o zieloną kartę.

JA

Tylko że... to niemożliwe.

MARCIE

Dlaczego?

JA

To skomplikowane.

MARCIE

Wcale nie. To przygnębiająco znajome.

Sięga po e-papierosa i włącza go.

MARCIE

Claire, zasięgnęłam języka na twój temat wśród kolegów w Londynie. Wiesz, co napisali?

JA

(smętnie)

Chyba się domyślam.

MARCIE

Najmilszym określeniem, jakie padło, było „trochę zbyt uczuciowa”. Najczęściej powtarzało się „trzymaj się od niej z daleka”. A gdy zaczęłam drążyć, ciągle natykałam się na słowo „tumult”.

Unosi brwi.

MARCIE

Zechcesz mi to wyjaśnić?

Biorę głęboki oddech.

JA

Tumult... Tak brzmiał tytuł mojego pierwszego filmu studyjnego. Mojego wielkiego debiutu. Grałam w wątku miłosnym u boku... Domyślam się, że już pani wie, u czyjego boku. Jest sławny, przystojny i wszyscy wiedzą, że tworzy z żoną jedno z najszcześniejszych małżeństw w show-biznesie.

Patrzę na nią wyzywająco.

JA

Więc kiedy się we mnie zakochał, wiedziałam, że to coś poważnego.

MARCIE

(prychając szyderczo)

Jasne.

JA

To było, zanim usłyszałam, co się mówi na planach zdjęciowych. NPSNL, kochanie. Na Planie Się Nie Liczy.

MARCIE

No i?

JA

No i cztery tygodnie później na planie zjawiła się jego sławna, piękna żona z trojgiem sławnych, pięknych dzieci. Nagle producenci zaczęli szukać pretekstu, żeby usunąć mnie z drogi. Utknęłam w kabinie dźwiękowej, poprawiając dialogi, które zrobiłam bez zarzutu za pierwszym razem.

MARCIE

(kiwając głową)

Mów dalej.

JA

Wtedy zaczęły docierać do mnie plotki. Że jestem stukniętą stalkerką. Że groziłam jego żonie. Ta sama machina public relations, która pracowała na sukces jego filmów, zaczęła pracować przeciwko mnie.

Usilnie staram się powstrzymać łzy. Wiem, jak naiwnie to brzmi. Ale prawda wygląda tak, że wcale nie byłam naiwna. Z systemu opieki zastępczej nikt nie wychodzi jako niewiniątko z kłapkami na oczach.

Za to każdy, kto stamtąd wychodzi, rozpaczliwie pragnie kochać i być kochany. A on był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam, najbardziej namiętnym, najbardziej rozpoetyzowanym. Potrafił recytować wszystkie napisane przez Szekspira fragmenty o miłości, jakby zostały stworzone specjalnie dla niego.

Morał: nigdy nie zakochuj się w kimś, kto woli mówić cudzymi słowami.

Nie wspominam Marcie o tej drugiej sprawie, choć przypuszczam, że już o niej wie. O tym, że doprowadzona do obłędu rozpaczą wywołaną niesprawiedliwością całej tej sytuacji, poszłam do jego przyczepy i podciąłam sobie żyły na tej samej kozetce, na której kochaliśmy się w przerwach między scenami. O tym, jak chciałam mu pokazać, że nie była to jedynie gra aktorska. Że to było naprawdę.

Przynajmniej dla mnie.

JA

I to wystarczyło. Z dnia na dzień skończyły się przesłuchania. Widzi pani, popełniłam największy grzech. Zachowałam się nieprofesjonalnie. To się stało tydzień przed moimi osiemnastymi urodzinami.

Marcie w zamyśleniu kiwa głową.

MARCIE

Wiesz, Paul ma rację: jesteś całkiem dobra. Przez chwilę prawie było mi cię żal. A powinnam była pomyśleć: co za głupia, autodestrukcyjna kretynka.

Celuje we mnie koniuszkiem e-papierosa.

MARCIE

Producenci mieli rację. Poszukaj sobie innej pracy.

JA

Miałam nadzieję, że w Ameryce dostanę drugą szansę.

MARCIE

To było naiwne z twojej strony. Czasy, w których przyjmowaliśmy stłoczone masy ludzi spragnionych wolności, już dawno minęły.

JA

To jedyna praca, o jakiej kiedykolwiek marzyłam. Ale nie będę mogła dalej studiować, jeśli nie znajdę jakiegoś zatrudnienia.

Marcie krzywi się i jednocześnie wzdycha. Z jej nozdrzy wydobywają się kłęby dymu z e-papierosa. Po chwili, jakby wbrew głosowi rozsądku...

MARCIE

W porządku. Zostaw swoje zamiary w sekretariacie. Szykuje się parę nędznych teledysków. Ale niczego nie obiecuję.

JA

Dziękuję! Bardzo pani dziękuję!

Zrywam się z miejsca i z przesadnym entuzjazmem ściskam jej rękę. Gdy wyplątuje dłoń, zbywając moje podziękowania machnięciem e-papierosem, jej spojrzenie przypadkiem przesuwają się w dół. Coś na stercie kartek na biurku przykuwa jej wzrok.

Sięga po to, czyta ponownie, patrzy na mnie...

MARCIE

Claire, a co byś powiedziała na pracę dla kancelarii prawnej specjalizującej się w sprawach rozwodowych?

JA

W charakterze asystentki?

MARCIE

Niezupełnie... Słuchaj, będę szczerą. To nie jest robota marzeń. Ale potrzebują kogoś takiego jak ty i są gotowi dobrze zapłacić. Bardzo dobrze. Nie wymagają członkostwa w związku. I oferują gotówkę.

SPOTKAŁ JĄ UWIERZYŁ JEJ NIE POWINIEN

E-book dostępny na
woblink.com

ISBN 978-83-7515-533-4



9 788375 155334

Cena detal. 39,90 zł



WYDAWNICTWO
OTWARTE